

CZEŚĆ I

ROK 880, Messyna

Jest czas umierania i czas narodzin. Czas siania i zbierania plonów. Czas wojny i gniewu. I czas odbudowy tego, co w czasie gniewu zostało zniszczone. Na szczęście, bo Messyna bardzo tego czasu potrzebowała. Widać było na każdym kroku tę ulgę, z jaką zmęczeni mieszkańcy przyjęli długo oczekiwany pokój. Że nie wszystko było jak przed wojną? Cóż, trudno. Było dość czasu, by przyzwyczać się do poczucia utraty. Utraty dóbr materialnych, utraty ukochanych bliskich, utraty wiary, utraty domu... Ale zostało w ludziach dość nadziei, by podjąć trud i raz jeszcze stawiać kamień na kamieniu. I tak z dnia na dzień można było obserwować, jak zmartwychwstaje Miasto.

Szlachetny Theo Tynagiron obserwowałby to z ogromnym wzruszeniem, zapewne dawnemu oficerowi messyńskiej hetajry nie raz zaskliłoby się oko na widok kwiatów, które pierwszy raz od wojny zakwitły w ogrodach akademickich, z których wygarnięto wreszcie popioły i gruz. Stałby ze ściśniętym gardłem przed obeliskiem, pod którym pogrzebano prochy obrońców Messyny, jego towarzyszy broni, ustawionym tam, gdzie kiedyś stał złocony dumny posąg Eutyka, zjednoczyciela Ofiru. Ot, znak czasów, pomyślałby. Jedność Ofiru jest już historią, zaś żal po poległych w gruzach Miasta był wciąż żywy. Zamyśliłby się, spojrzawszy z murów Górnego Zamku na rude dachy kamienic Przedmurza, tam, gdzie kiedyś dane mu było zobaczyć obcą boginię, depczącą sztandary sojuszu.

Zrobiłby to wszystko, gdyby tylko miał do tego głowę. Ale nie minął nawet miesiąc od momentu, gdy Senat złożył na jego barki godność kratistosa. Theo nie był osobą, która nie rozumiałaby i nie odczuwała przygniatającej wagi tego zaszczytu, a gdyby nawet – mnożące się i wciąż depczące mu po piętach problemy nie pozwoliłyby popaść w leniwą dumę.

Tego popołudnia właśnie jeden z drastycznych problemów Theo Tynagirona miał zostać rozwiązany definitywnie.

Towarzyszący mu enom warangijski odprowadził go do Pałacu Flaminów, gdzie na wyraźny rozkaz miał czekać do powrotu kratistosa. Tynagiron przekroczył bramę i znanymi korytarzami przeszedł do zachodniego skrzydła, upewniwszy się, że zostanie zobaczony przez strażników Sali Wielkiej Rady, i dopiero po tym skręcił dyskretnie w prawo, do wąskiego korytarza, którego wejście skryte było za arrasem zdobiącym półpiętro schodów. Korytarz, przeznaczony do szybkiej i dyskretnej komunikacji służby, posiadał równie dyskretną płytę w podłodze, podnoszoną ukrytym pod lichtarzem mechanizmem. Theo poniósł płytę i zszedł w wypełniony zapachem zgnilizny i wilgoci tunel. Miejskie kanały burzowe.

Znając rozkład kanałów na pamięć, kratistos dotarł na miejsce w czasie, który zwykłemu mieszkańcowi zajęłoby zorientowanie się w położeniu. Wszyscy już czekali.

Tynagiron mimowolnie uśmiechał się, widząc dobrze znane twarze, ściskając ich ręce po tym, kiedy stanowczo zabronił jakiegokolwiek przed nim padania na kolana. Przypominali mu zostawione za sobą Srebrnogórze. Ludzie, dzięki którym stał się tym, kim się stał, wodzem powstania, przywódcą kraju, władcą... No właśnie. Kim się stał...

- Wybaczcie tę dziwną sytuację- zaczął – Tajemne wezwania, zobowiązanie do milczenia, cała ta otoczka była konieczna, bowiem misja, do której Was potrzebuję, jest wielkiej wagi i ogromne szkody mogłoby poczynić, gdyby ktokolwiek postronny dowiedział się o Waszej tu obecności. Czy zatem nikt nie wie?

- Panie – odezwał się w imieniu reszty Elfgar – Znaczenie rozkazu znamy nie od wczoraj. Nie wątp w nas i dziś, jak nigdy nie wątpiłeś.

Tynagiron uśmiechnął się gorzko.

- Nigdy nie wątpiłem. Zatem, czy jesteście gotowi znów oddać swoje życie dla dyspozycji Miasta? A gdy będzie trzeba, zginąć, by ono było bezpieczne? Muszę uzyskać od Was tę odpowiedź dziś jasno i klarownie, jak nigdy.

Wojownicy z oddziału zareagowali spontanicznie. I absolutnie zgodnie. Siedem osób jak jeden mąż przyklęknęło na jedno kolano jak rekruci 19. pontekostii, składający pierwszą wojskową przysięgę.

"Tobie, Messyno, przysięgam w obliczu bogów i przez pamięć przodków, strzec ludzi twoich, i domów twoich, i murów twoich, a gdy zajdzie potrzeba, bronić ich do ostatka, do samej śmierci, nie uchybiwszy honorowi ani godności obywatela Miasta"...

Zanim skończyli recytować przysięgę, podjął decyzję.

- Szczegóły misji wyjawi wam za chwilę szlachetny Domicjan Kargiliaes, przyboczny mój, człowiek któremu ufam całkowicie.

Nie zdziwili się, Kargiliaesa znali w Messynie wszyscy, człowieka, o którym mówiono, że dzięki niemu udało się w ogóle zwołać senat, on pogodził partykularne interesy i zmusił do współpracy dowódców i rody. Ale plotki głosiły, że uczynił to, bo na każdego z senatorów miał haka i każdego miał w garści, sam nie mając żadnej formalnej władzy ani stanowiska.

- Zostańcie tutaj – zanim minął łukowy otwór drzwiowy, oddzielający pomieszczenie od reszty kanału, odwrócił się jeszcze i rzucił – Bogowie z wami...

W drzwiach – jedynym wejściu do pomieszczenia – minęło go trzech ludzi o aparycji najemnych zbirów, uzbrojonych w kusze. Naciągnięte. Nie odszedł na tyle daleko, by nie słyszeć krzyków. Nie chciał. Choć nie łudził się, że jakkolwiek bóg policzy mu to jako wyrównanie winy.

Domicjan dołączył do niego dłuższą chwilę po tym, jak krzyki umilkły. Kolejną długą chwilę odczekał, zanim zaczął mówić.

- Nie było elfki.

- Wiem – lakonicznie odpowiedział kratistos. Po kolejnej chwili milczenia dodał – Jej nie obchodzi Messyna, jest już daleko na południu. Z pozostałych byli wszyscy.

- Wszyscy, którzy wiedzieli o truciznie?

- Tak. Wszyscy z tego oddziału.

- Co z Itaryjczykiem?

- Nie żyje.

Domicjan odetchnął. Z troską spojrzął na swojego władcę, kładąc mu familiarnym gestem rękę na ramieniu.

- To było konieczne, Theo. Każdy, kto wie o rehitacea, jest potencjalnym zagrożeniem dla Miasta. Tego wymagało wyższe dobro.

- Tak. – odpowiedział Tynagiron mocno nieobecny głosem – Idź dokończ to, co musisz.

Domicjan wstał i podniósł stojące pod ścianą dwie butelki. Po chwili z sąsiedniego pomieszczenia doszedł odgłos, wskazujący na ciągnięcie po ziemi ciała. Zgrzytnięcie o podłogę – ktoś podniósł płytę, przykrywającą studnię wyrównawczą. Chlupnięcie. Drugie. Trzecie. Siódme. Głosy ludzi. Stuknięcie szkła. Cichy śmiech. Brzdęk monet. Głośniejszy śmiech. Stuk szkła. Nagła cisza. Głośny jęk. Drugi. Trzeci. Krótki odgłos szamotaniny. Chlupot. Jeden. Drugi. Trzeci. Zgrzyt pokrywy. Kroki obcasów na kamieniach.

Domicjan wyłonił się zza rogu, wycierając sztylet w szal. Szal zdjął, położył w kącie i przyłożył do niego oliwną lampę. Po chwili czarny śmierzdzący dym wypełnił górę sklepień.

- Kto to był? – bez zainteresowania zapytał Tynagiron, wyciągając w jego kierunku manierkę z winem. Domicjan spojrział na niego z niedowierzaniem. Sam przed chwilą zabił trzech ludzi za pomocą wina. Tynagiron uniósł brwi w kpiącym grymasie – Żartujesz sobie? To moje wino. Zresztą... – nalał wina do cynowej nakrętki od manierki i wychylił do dna, po czym wyciągnął znów manierkę w kierunku wielmoży – Więc, kto to był?

- Nikt – szlachetny Kargiliaes uśmiechnął się pod nosem, pociągając z manierki i siadając obok na kamiennych gzymsach – Czy to zatem wszyscy?

- Wszyscy, którzy wiedzieli o mnie. Pozostali wiedzieli tylko o zapiskach z Kovendare, o laboratoriach.

- Tak, o tych wiem. Ale, mój panie, skrypt z laboratorium z Kovendare leży w twoim sekretarzyku, a w opowieści o truciznie, pyłe i całej tej reszcie absolutnie nikt nie uwierzy. Nikt. Moja w tym głowa.

- Nikt więc nie wie – westchnął Theo, wychylając jeszcze jeden łyk – Nikt, prócz ciebie, mój szlachetny Domicjanie. Cóż więc teraz?

- Teraz, panie, nic ponadto, że ustalimy zasady współpracy. Jak ci wiadomo... – szlachetny Ofirczyk przerwał w pół słowa z otwartymi ustami, wpatrując się z nagłą w kratistosa coraz bardziej rozszerzającymi się źrenicami. Minęło kilka sekund, zanim złapał się dłońmi za krtań i osunął na kamienie. Theo wypił kolejny łyk wina, nawet nie zmieniając pozycji.

- Widzisz, Domicjanie – rzekł, nie zmieniając także tonu głosu – Wiesz wiele o wszystkich, ale tego nie miałeś szans wiedzieć. Odkryłem to przypadkiem. Stałe zażywanie antidotum na to trujące gównie zupełnie przypadkiem uodporniło mnie na większość istniejących trucizn. Co znaczy, że mogę ze smakiem wypić twoje zdrowie tym winem, które było twoim ostatnim winem w życiu. Widzisz, nie będzie żadnych ustaleń i żadnej współpracy. I żadnego człowieka, którego wiedza może mnie trzymać w szachu. Wiele mnie nauczyłeś, przynajmniej jeśli ci to przyniesie jakąś pociechę, to twoją zasługą będzie, że Messyna zyska kratistosa odpornego na knowania i intrygi. Bo przecież robiłeś to dla Messyny, prawda? – odwrócił się bezpośrednio do konającego mężczyzny. Westchnął, wyciągając z cholewy cienki jak szydło sztylet – Tych kilka chwil umierania należało ci się, za mój udział ze Srebrnogórza. Ale nie jestem sadystą, oszczędzę ci finału.

Martwe już ciało szlachetnego Kargiliaesa, zostało rzucone na stertę płonących szmat, polanych oliwą z lampy. Theo wyciągnął z rękawa buteleczkę z eliksirem alchemicznym, zwanym "biały ogień", odkorkował i rzucił w ogień, po czym biegiem oddalił się od miejsca, ścigany podmuchem wybuchu.

Powrócił na powierzchnię inną drogą, przez inny zupełnie korytarz i ostentacyjnie wyszedł z Sali Modlitw na pełny ludzi korytarz. Jeszcze tego samego dnia w Złotej Auli Senatu przyjął w uroczystej koronacji nałożony na głowę złoty wieniec kratistososa.

ROK 881, Dormenos

To było miejsce absolutnie wyjątkowe i każdy odwiedzający je, wyznawca czy nie, wiedział to od pierwszej chwili gdy tylko przekraczał granice doliny. Już tam witany był oszałamiającym zapachem, ziół, kwiatów i wilgoci, zapachem jedynym w swoim rodzaju, niespotykanym nigdzie na świecie. Schodząc z Wichrowego Siodła w kierunku Wodospadów ma się przed oczami całą dolinę, ogród Widy. Rozłożone na skalnych tarasach gęste lasy, pełne roślin, nie rosnących nigdzie indziej. Z ciemnych, bazaltowych urwisk szeroką strugą wodnego pyłu spływały Wodospady, źródła Wedry, o świecie w słoneczny dzień dając niesłychanej urody tęczowe rozbłyski. Kamieniste ścieżki, oświetlane w nocy latarniami, wiodły wędrowców ku płaskowyżom, gdzie zatopione w zieleni, zapachu kwiatów i ptasim świergocie wznosiły się przylepione do ścian kamienne budowle, filigranowe lekkie jak elfie pałace. Klasztorzy Wedrańskie. Miejsca przepełnione spokojem, mądrością, wiedzą i energią życia.

Zwykle klasztorzy były miejscami ciszy i wytchnienia, ale w tamtych dniach, gdy do Dormenos zjechały koronowane głowy całego świata, dolina rozbrzmiewała setkami głosów, trąb i bębnow. Wielka narada toczyła się w Grotach, które były jedyną dostatecznie wielką salą by pomieścić wszystkie ważne osoby, marszałków, namiestników, kratistosów, księżęta i księżne. Jak zwykle w takich przypadkach bywa, na spotkaniu oficjalnym zaprezentowano oficjalne stanowiska, doskonale już znane wszystkim stronom i ich wywiadam. Prawdziwe decyzje podejmowano podczas dziesiątek rozmów, dyskusji i spacerów po dolinie przed i po wielkim spotkaniu. I choć wszyscy obecni w przecudnej dolinie Dormenos byli świadomi prawdziwej natury rzeczy, to i tak do historii przeszło owo wielkie posiedzenie w Grotach.

Był to już drugi raz, gdy do Dormenos zjechały koronowane głowy, zakłócać spokój na bazaltowych tarasach bogini życia. Za pierwszym razem postanowili o wielkiej wyprawie na wschód, tym razem zebrali się, by poznać jej efekty. I zrozumieli, że rok wcześniej ich decyzja zmieniła świat definitywnie i nieodwracalnie.

Świat zapamiętał obywa wielkie spotkania i zapisał je w kronikach. Tego zaś w kronikach nie zapisano.

W ogrodzie u stóp Wodospadów o świecie, spotkali się kapłani największych kultów zachodniego świata z wszystkich krain. Ofirscy flaminii, teralscy żercy, fiordyjscy gydowie, kapłani wergundzcy, tryntyjscy, daramońscy i liryzyjscy. Pewną egzotyką w tym gronie była obecność styryjskich arcykapłanów Tavar. Odprawiono zbiorcze rytuały do największych spośród panteonu, Widy, Toledy, Styrwita, Silvy, Morta, Rega i Tavar, rozkładając wielki promieniejący światłem krąg wśród pnących klematisów i oszałamiająco pachnących kwiatów jaśminowca.

- Wszystko jest nowe. Takie czasy dano nam pod opiekę i takie po nas zostaną dla naszych dzieci. Nowy świat na wschodzie, nowy świat na południu. Nasz stary świat odmieniony przez wojnę. Ludzie naszego pokolenia widzieli narodziny i śmierć bogów, widzieli cuda wschodnich krain, zobaczyli jak

spełniają się rzeczy niemożliwe. Dzisiaj jak nigdy ród ludzki będzie potrzebował naszej pomocy. Na naszych barkach spoczywa obowiązek sprawienia, by myśl człowiecza trafiła do bogów. By prawo boskie trafiło do ludzi. Bez nas, bez siły, autorytetu i mądrości kapłanów, człowiek gotów zatracić łączność z bogami, zgubić się i utracić tę opiekę, którą od pokoleń posiada. Nadejdą ze wschodu nowe pokusy, nowe potęgi, nowe moce, które będą kusić możliwościami, kusić by przestać kłaniać się bogom. Nadejdą ludzie głoszący, że tak być powinno, że należy bogów wygnać lub nawet zabijać. Niebaczni na stworzenie, niebaczni na opiekę, będą ludzie bogów winić za klęski, jakie nadejdą. A nadejdą. Zawsze nadchodzą wraz z nowym. Tak być musi. Nadchodzi czas wielkich zdobyczy, wielkich bogactw i wielkiej potęgi, a zapłacony zostanie wielkim cierpieniem. Siostry i bracia, wielkim jest to dla nas obowiązkiem, byśmy jak tu dziś stoimy uwolnieni z granic i dworów, tak stali wobec ludów naszych w nadchodzącej przyszłości, jedną wolę bogów głoszący. Jedno jest boskie prawo. Niech lud składa ofiarę i modlitwę, a otrzyma w zamian opiekę od najgorszego. Choćby bowiem zdawało się ludziom, że oto ich bogowie opuścili w nieszczęściu i pozostawili na pastwę fatum, to przecież nie jest tak nigdy i nigdy się tak nie stanie, dopóki składana będzie ofiara miła bogom.

Zatem, siostry i bracia, wróćcie do swoich, wróćcie z błogosławieństwem Widy, pani życia. I nie pozwólcie, by się ludzie odwrócili od bogów, bowiem wtedy bogowie odwrócą się od ludzi!

Zanim arcykapłanka skończyła mówić, w ogrodzie panowała cisza. Gdy usiadła, powstał sędziwy Racigniew, żerca teralski z chramu Silvy, w Terali zwanej Sylwaną, człowiek znany z wielkiej mądrości, płynącej z wieku ale i z doświadczenia starca.

- Smutne są twoje słowa, Erne, pierwsza słuگو Widy. Smutne i wiele obaw żywię, że prawdziwe, bo sam widzę tę przyszłość w płomieniach na ołtarzach i wróżebnych misach. Jednego jednak nie ujrzałem i rad będę, jeśli wiedzą swoją się z nami podzielisz. Co za człowiek zechce nawoływać do tego, by bogów zabijać? To być nie może, bo wykracza poza prawo.

- Już nie.

Wszyscy obecni zwrócili oczy w kierunku mówiącego. Ten wstał, prezentując wszem i wobec zielonkawą, złożony z mchu zarost na swojej twarzy i ramionach. Był ulundo. Mógł służyć tylko jednej bogini.

- Już nie – powtórzył – Umarł bóg, bowiem zawiódł swoich wyznawców, a ci odmówili mu modłów i ofiar. Umarł, bo w swojej pysze zstąpił tutaj. I ludzie to zobaczyli. I uwierzyli, że bez bogów będą wolni. Mamią ich ideolodzy i domorośli filozofowie, którzy zobaczyli pradawne księgi, i nie umiając ich pojąć, głoszą zniekształcone. Oni się zbierają już. Organizują. Rozchodzą po świecie jak zaraza. Zaczęli z Ofiru. Z Itharos i Messyny. Idą na północ i zachód, bo na południu za głoszenie bluźnierstwa umrą szybciej niż zrozumieją, że błędzą. Szacowny starcze – ulundo skłonił się Racigniewowi – dojdą i do Terali. Powiedzą twoim ludziom, by odstąpili od bogów i szukali człowieka o wielkiej mocy. Sami siebie zwą Imperium.

Zapadła ponownie cisza, a miny obecnych wskazywały, że nie jest większości obca ta nazwa.

- O jednym zatem pamiętać musimy – westchnął sędziwy żerca po chwili – byśmy nie ulegli chwilowym problemom i pokusom, którym tak łatwo ulegają władcy i rządcy. Wierność bogom musi być pierwsza, przed posłuszeństwem kaprysom dzieci na złożonych tronach. Byśmy zachowali prawo. Byśmy zachowali boską opiekę, tak być musi i tak musimy sprawić.

Obecni pokiwali ze zrozumieniem głowami. W oddali, poza okolonym czarnymi szczytami horyzontem, przetoczył się grzmot. Pierwsze krople deszczu spadły na wielkie kwiaty klematisa.

ROK 881, Asura Makan

Nigdzie na całym świecie nie ma takich gwiazd, jak nad Assurą. Powietrze, które w dzień drga od gorąca tak ogromnego, że trudno jest oddychać, bo parzy w nozdrza, w nocy, gdy tylko ustaje szalona działalność słońca, ucieka w górę, zdając się przybliżyć sklepienie niebieskie do ziemi. Gwiazdy są ogromne, wyraźne i nie migoczą, jak wtedy, gdy widziane są w miejscach pokrytych chmurami. Hipnotyzują, przyciągają wzrok, dają oparcie zmęczonym oczom wędrowców. Jednak niewielu podziwia nocami niebiański spektakl. Po dziennym żarze, sięgającym czterdziestu stopni upału, z momentem zachodu słońca temperatura spada o dziesięć stopni co każdą godzinę, by około północy sięgnąć zera, a nad ranem zmienić się w przesywający mróz, wyciągający resztki życia z nierozważnych wędrowców.

- Niebiosą muszą być z lodu – wyszeptał Hrofni. Pochodził z Fiordu podobno, a gdy szły pierwsze oddziały z jarlem Siałem, on był za młody i teraz dopiero pozwolono mu iść. Zdaniem Sulibora i tak był za młody. Przeprowadzenie przez Assurę odebrała mu zbyt dużo sił.

- Masz, nakryj się – podał mu swój koc i podniósł się z trudem, spoglądając na obozowisko. O ile można to było nazwać obozowiskiem. W nielicznych miejscach płonęły rachityczne ogniska, które ludzie i krasnoludy, którzy zachowali więcej sił, byli w stanie rozpalić ze znalezionych wiechci i porostów. Mało kto jednak przy nich się grzał, jak na każdym postoju większość legła tak jak stała, prosto na spękaną glebę, próbując spać dygocząc z zimna i wyczerpania. Widok był dość przygnębiający – pokryty szarymi, obszarpanymi ciałami płaskowyz, z nikła oświetlany światłem ognisk, wypełniony wszechobecną ciszą. Nikt nie miał dość sił, by choćby mówić głośno, a co dopiero śpiewać czy wołać. Wrażenie dodatkowo pogłębiała świadomość, że o świecie większość z leżących podniesie się z trudem i pójdzie dalej... Ale kolejnych kilku, kilkunastu już tu zostanie.

Sulibor szczerzej owinął się w płaszcz i usiadł, sam nie będąc pewnym czy dobrowolnie, czy to zawrót głowy kazał mu ugiąć kolana. Siedząca obok kobieta z krasnoludzkiego klanu Ploc Ark'hant (czyt. piok ereket) nakryła kocem Hrofniego, który zaczął dygotać. Sulibor spojrział na nią pytająco, a ona niemym ruchem głowy potwierdziła, że młody Fiordyjczyk nie dożyje świtu.

Usłyszeli szelest piasku.

- Dziebor – wyszeptał chłopak spod koca.

- Ciii, bohaterze – bard usiadł obok, kładąc niesioną wiązkę suszu. Z wydobytego z metalowej puszkę węgielka żaru rozdmuchał niewielki płomyk. Ciepłe światło rozjasniło na chwilę krąg siedzących, prócz Sulibora, Hrofniego i Ingeboran gromadzący kilkunastu wyczerpanych wojowników teralskich i krasnoludzkich, maszerujących we wspólnym oddziale – Wszyscyście bohaterzy – uśmiechnął się Dziebor – Kres tej drogi już blisko. Sam słyszałem, jak kniaziowi Falimirowi dziś zwiadowcy donieśli, że dzień drogi widać już dachy miasta za pustynią.

Kilka głów podniosło się z zainteresowaniem, kilka osób wyszeptowało pełne nadziei "naprawdę??", a Dziebor opowiadał dalej:

- Kneź Falimir wysłał już ludzi, by nas w tym mieście przyjęli. Mają k'nam wyjść beczkowitzy z wodą i z chlebem, i wozy po chorych.

- Oni nam pomoc będą nieśli, miast my im - wycharczała cicho Ingeboran.

- A nie, pani krasnoludko, a nie – odparł Dziebor – Gdy opuścimy Assurę przeklętą, odzyskamy siły, przecie nas nie zmoгло piekło na ziemi, jakże ma nas zmóc wróg, co się w norach jak szczur chowa. W sukurs idziemy! Z pomocą dobrym ludziom, z ratunkiem. Słuchajcie dzieci – bard wyciągnął z cholewy zniszczonego buta małej fletki, wytarł o krawędź poły i zaświergotał krótką melodyjkę – Opowiem wam o dawnych bohaterach, o Jaszy łuczniku, co ze smokiem walczył – znów wtrącił świergot fletu – Dawno dawno temu to było, gdy po świecie smoki chodziły i ogniem ziały okrutnym...

Nikt z słuchających nie wiedział, skąd teralski bajarz ma tyle sił, by podtrzymywać ich wszystkich na duchu. Nikt z słuchających się nad tym nie zastanawiał. Chłonęli słowa opowieści, przetykane kojącymi dźwiękami fletu. Przysiadali się coraz bliżej ognia, coraz gęściej, opierając się nawzajem o swoje ramiona w przejawie tego szczególnego rodzaju bliskości, który łączy ludzi w stanie skrajnego zmęczenia i strachu. Opowieści i baśnie Dziebora były dla wojowników pierwszej i drugiej sukursji jak łagodzący kompres na wyczerpane piekłem dusze. I nie miało znaczenia, że dachy miasta Kagarhaweli, a nawet trzciniowe strzechy osad na obrzeżu Assury nie były o dzień drogi, lecz ponad dwa tygodnie. Że woda, zabrana do beczkowitzów z cystern w ostatniej na wschód wysuniętej bazie, skończyła się kilka dni wcześniej. Ani to, że na pustyni został blisko co dziesiąty spośród nich. Dotarli. Przeżyli. Zwyciężyli.

ROK 883, Kesham

Wielkie reprezentacyjne sale klanu Ploc Ark'hant nie miały sobie równych. Mistrzowie górnictwa słynęli z tego, że potrafili skałę urabiać tak, jak tylko chcieli, mówiło się o szczególnej opiece bogini Hogmod na d nimi. Do położonych głęboko olbrzymich kawern potrafili tak doprowadzić korytarze, że ciepłe powietrze z powierzchni miast uciekać do góry, włączane było do wnętrza góry. W skośnie prowadzonych szybach rozkładali lustra tak, by światło słoneczne odbijane od kolejnych tafli, rozświetlało ułożone pod sufitem wielkie kryształowe żyrandole. Wszyscy członkowie klanu wchodząc do wielkich sal pod górą Krun na półwyspie Shamaroth, zwykle odczuwali dumę z kunsztu swoich pobratymców. Tym razem jednak dumą została zepchnięta w cień przez zupełnie inne uczucia.

- Bogini was pokarze za to co czynicie! To jest zdrada własnej krwi! – okrzyki jedne przez drugie płynęły ku sklepieniu – To jest nagroda, którą dajecie najlepszym ze swoich wojowników!

- To jest zdrada! – podsumował Hurm zwany Czarną Skałą, jeden z klanowych wodzów, którzy poprowadzili na sukursję wojowników Ploc Ark'hant – Starsi klanu poparli wyprawę. Była zgoda i jasne warunki. To, co teraz robicie, to jest zwykle świństwo! Zdrada, której nie wybaczmy.

Starszyzna klanu, czternaścioro najstarszych krasnoludów, zasiadała w półkrygu na kamiennych siedziskach, na środku zaś płonął w palenisku ogień. Starsi milczeli, co tym bardziej czyniło zarzuty wojowników słusznymi.

- Gdy nie ma wyjść dobrych, Hurmie synu Gwarda, można wybrać, między złym lub bardzo złym – odezwał się w końcu siedzący na środku starzec, Fromund Srebrzystoręki, zwany tak od ze srebra wykonanej protezy dłoni – Wstyd jest nam i żal, że miast was nagrodzić, jak na to zasługujecie, jako tych co sławę klanu pomnożyli, prosić was musimy o odejście.

- Prosić o odejście – zachnęła się Ingeboran, dowódca toporników – Nazwij to po imieniu, Formundzie, wysyłacie nas na wygnanie, jak się wysyła najgorszych przestępców! Łamiecie jedność klanu, odmawiacie jego prawym członkom wsparcia i pomocy.

- Nie potrzebujecie pomocy – odezwała się Jormunda, jedna ze starszych – Jesteście najsilniejszymi spośród nas. Kogo mamy posłać na tułaczkę, gdy kończą się zapasy żywności i głód grozi podziemiom? Matki z dziećmi? Starców? Przodowych, co drażą korytarze, by jeszcze mniej wydobywać? Taka była decyzja Rady Klanów i to była decyzja najlepsza z najgorszych. Jesteście silni, przeszliście pustynię, walczyliście w dalekich krajach. Poradzicie sobie poza klanem póki się wiatr nie odmieni.

- Nie odmieni? Kiedy ma się to stać?

- Zważcie również – rzekł poważnie Formund – że choć was o to nie oskarżamy, to jednak przyłożyliście rękę nieświadomie do tego, co się stało. Wasze wojska zwiozły do ludzkich krain tyle złota, kamieni i metali, że cena grudki czystego kruszcu nie wystarczy nawet na bochen chleba. Nikt nie mógł tego przewidzieć, jeśli jednak ktoś ma ponieść tego skutki, to wy pierwsi.

- Powiedz to moim wojownikom! – krzyknął Hurm – Powiedz im, że przeszli pustynię, walczyli z potworami, pokonali piekło, a teraz nie wolno im odpocząć w domu, zostać z bliskimi!

- Powiedz to tym, co od roku już dzielą się każdą kromką chleba, że mają ją oddać, bo wrócili wojownicy. Tak zdecydowała Rada Klanów, wszystkie klany odeślą wojowników do krain ludzkich, dopóki sytuacja się nie zmieni i za to, co urabiamy ze skał nie będziemy w stanie zakupić dość żywności, by wykarmić wszystkich.

- Niech was ... – zgrzytnął zębami Hurm, zrywając z ramienia klanową fibulę, trzymającą na ramieniu tartan takim gestem, jakby chciał ją cisnąć w ogień. Ingeboran położyła mu ciężką rękę na ramieniu.

- Opanuj się – warknęła. Złożyła salut radzie i wraz z pozostałymi skierowali się ku bramie, za którą czekały na nich ich oddziały - Mają rację – dokończyła szeptem, gdy odeszli już trochę od starszyny - Poradzimy sobie. Wergundia nas przyjmie. Zewnętrzne hrabstwa nas przyjmą. Dracouiamh w Górach Silber. Dobenbarr w Terali. Bansciath w Maegrosie. Nie ma wyjścia. Damy ludziom czas, by zostali z rodzinami, lub by wzięli je ze sobą. Dwa trzy dni, nie więcej. Potem, jeśli zechcą, wezmą bliskich ze sobą. Lub nie. Wrócimy. Kiedy wiatr się odwróci. Klan się nas nie wyparł, klan chroni najsłabszych.

- Powiedz to tym, którzy nie wrócą....

Do opola dotarli wczesnym rankiem, kilka godzin po świcie. Dymiące, niedopalone zgliszcza chat wskazywały, że napad nastąpił tuż przed świtem. Zdeptana ziemia zdążyła już lekko wyschnąć w letnim słońcu i ślady były niczym zacementowane, gdy wojowie kniazia karantańskiego, Dragana Karanawica, pochyliłi się nad nimi, by odczytać przebieg potyczki. Znalezionych kilka ciał, głównie młodych wojowników z kmiecych rodów, na pewno nie stanowiło wszystkich mieszkańców. Gdy rozpoczęli poszukiwania, tamci zaczęli się pojawiać. Z piwnic, leśnych skrytek, zarośli zaczęły powoli wychodzić dzieci, kobiety i starcy. Wojowie każdego starali się opatrywać, ale nie w ich mocy było uleczyć płynące lzy i naprawić wszechogarniające poczucie krzywdy ludzi, wyjących nad popiołami swojego domu. Kilkoro dzieci zawodziło, krzycząc, że porwali matkę. Kilkoro kobiet biegło nieprzytomnie, pytając dookoła, gdzie ich dzieci. Ktoś z rozdzierającym krzykiem pochylił się nad ciałem. Książę Dragan każdego znalezionego kazał przyprowadzać do siebie.

- Ilu zabrali? Którą drogą poszli? Ilu ich było? – padały te same pytania, tak długo, aż udało się ustalić w miarę pewną wersję. Poszli wzdłuż starej drogi w dół przełęczą, co znaczy, że dym, który widzą w dolinie, to Ryże Sioło. Skoro stracili czas na zniszczenie kolejnej osady, na równinę wyjdą za godzinę.

- Zdążymy ich dopaść – książę nie cierpiącym sprzeciwu gestem nakazał natychmiastowy wymarsz.

- Jakże ich gonić, kiedy oni na koniach? – zapytał jeden ze strzelców, posłusznie jednak dopinając troki i szykując się do marszu.

- Nie wszyscy oni na koniach, widziałeś w tropie. Oni w las gdy wchodzą, to konie zostawiają, by nie zawadzały. A choćby i konno byli, to oni wiodą porwanych. Oni na koniach, ale uprowadzonych piechotą muszą wieść, a choćby ich do biegu zmusili, to ich zanim na równinę wyjdą, dopadnięm. Czterech zostaje, niech w pochówkach pomogą. Reszta za mną!

Dostali samnijski arban rzeczywiście tuż przed miejscem, gdzie za wzgórzami zaczynał się już otwarty step. Kolumna brańców, spętanych do jednego długiego powroza, spowalniała konnych na tyle, że nawet dostrzegłszy zagrożenie, nie mogli bez porzucenia ludzkiego łupu uciec. Książęwoje przyjęli szyk, przez Dragana w ostatnich latach wprowadzony, świetnie się sprawdzający przeciwko mobilnym i szybkim koczownikom. Tarczownicy, uzbrojeni w niewielkie tarcze w kształcie łezki, zwane tu szczytami zwierali szereg, chroniąc łuczniców zależnie od potrzeby albo w linii, albo w czworoboku. W takiej zwartej formacji biegli, zmuszając przeciwnika do rozproszenia, łucznicy zaś nie strzelali chmarą strzał, ale atakowali ostrzałem wybranych jeźdźców, eliminując skutecznie jednego za drugim z potyczki. Tak wybiegli z lasu, rozciągając się w długi klin. Kilku koczowników, zoczywszy atak, oderwało się od kolumny, licząc na łatwe rozproszenie piechurów, pozostali głośnym krzykiem i batami zaczęli poganiać brańców do biegu. Książęwoje nie zwolnili biegu, ścieśniając jedynie szyk zależnie od miejsca, gdzie natarli koczownicy. Teralskie brzechwy okazały się być celniejsze.

Dogonienie kolumny kosztowało ich około dziesięciu minut biegu. Brańcy, widząc nadciągającą odsiecz, lub też naprawdę słabnąc, rzucali się na ziemię, powłóczyli nogami i szarpali powrozem. Gdy teralscy wojowie dopadli koczowników, kilkoro jeńców rzuciło się na samnijskich intruzów, wskakując na końskie grzbiety i dusząc sznurami. Tak zabili przynajmniej trzech, dalszych kilkunastu dosięgły teralskie strzały, miecze i włócznie. Pozostali Samnijscy, widząc małą opłacalność

potyczki, z której niemożliwością było unieść łup, rzucili na ziemię ciągnięte powrósla i pogonili konie do galopu, zostawiając jeńców i zabitych towarzyszy, ale unosząc głowy.

Ocaleni brańcy reagowali różnie, najczęściej głośnym płaczem. Inni posuwali się do bezczeszczenia ciał napastników, cięcia ich nożami czy kopania, kilkoro zajęło się opatrywaniem i uspokajaniem rozkrzyczanych dzieci. Wszyscy jednak nieustannie dziękowali, pojedynczym wojownikom Dragana, wszystkim na raz i samemu kniaziowi wielokrotnie, kłaniając się do nóg i całując po rękach. Tych kilku, którzy nie dożyli uwolnienia, zanieśli na noszach do osady, by mogły ich rodziny należycie opłakać. Te szczęśliwe rodziny, którym dane było zobaczyć jeszcze bliskich. A były to nieliczne rodziny, w proporcji do ilości unoszących się na widnokręgu dymów, zwiastujących kolejne palone sioła i opola.

Choć wiec jak zawsze zwołano na godziny po zmierzchu, Dragan Karanawic syn Namira z rodu Awdan ostentacyjnie zlekceważył godzinę zgromadzenia. Na miejsce wiecu, obszerną połoninę z centralną wiatrą, wbrew obyczajowi wjechał konno i dopiero tuż przed obliczem godnych mężów i niewiast zeskoczył, ukazując zamiast kniaziowskich soboli żelazne naramienniki i skórnię bojową, uchłapaną krwią.

- Sława ojcom i matkom Terali – rzucił niedbale w kierunku poczerwieniałych od gniewu kniaziów, żerców i merlinów, po czym odpiął od siodła pakunek i potoczył go ku siedzącemu na skórkach kapłanowi kultu Skogura. Jeszcze zanim przesyłka dotoczyła się na miejsce, owijająca go szmata odwinęła się, ukazując posiniałe i nieludzko wykrzywione oblicze ludzkie, należące niegdyś do Samnijczyka. Obecni głośno stęknęli z oburzenia. Żerca Skogura zerwał się gwałtownie.

- Postradałeś zmysły, synu Namira, że przynosisz zwłoki do świętych ogni Terali!

- Nie! – zdecydowany głos kniazia przebił się przez hałas, powodując zamilknięcie obecnych – Nic nie dolega, bogom dzięki, moim zmysłom. To, co wam przynoszę, to pozdrowienia z karantańskich siół, z osad górnej Nitry, z całego wschodniego pasa za wzgórzami! Koczownicy pustoszą osady, ludzi w niewolę prowadzą lub mordują, palą zasiewy! Karantania od miesiąca wzywa pomocy braci, a jedna pomoc, jakiej udzieliły szlachetne rody, to wieczór przy ogniu!! – ostatnie zdanie wykrzyczał trzęsącym się z oburzenia i emocji głosem – Ile dni jeszcze będzie się wschodnia Terala wykrwawiać, aż zdecydujecie przewyciężyć niechęć i pomożecie w walce z wrogiem?

Jego słowa wywarły wśród zgromadzonych rozmaity skutek. Chorążowie rodów zaczęli spoglądać po sobie z lekką konsternacją, kilku spośród kmiecych wójtów i czelników jasno dało wyraz swojemu oburzeniu, rody witeziów wydawały się traktować słowa kniazia jak obrazę i prowokację do walki.

Tymczasem kapłan Skogura Mironieg powstał, by mówić, więc się uciszono na chwilę.

- Bolejemy nad losem kmieci z siół na wschodzie i wielkim jest złem, że się tak daleko w nasze lasy wróg zapuszcza.

- Więc dajcie rozkaz rodom! Wojewodę wybierzcie! – przerwał Dragan, zgrzytając zębami.

- Najpierw bogom będziem służyć, potem ludziom – odpowiedział Mironieg wyraźnie zirytowany – Będą ku czci Skogura w chramach obrzędy pierwej. Potem Sylwanę trzeba uczcić i o plon poprosić.

- Zanim skończysz obrzędy, nie będzie miał kto przyjść do chramów na modły!

Obok Mironiega, kt6ren był czł6wiekiem w sile wieku, podni6sł si6 Racigniew, s6dziwy zerca Sylwany, z racji wieku i doświadczenia maj6cy opini6 m6drc6.

- Prawom boskim nie śmieć uchybić, synu Namira, bo kara ci6 spotka. Nie masz wi6kszego przest6pstwa niź bog6w obrazić. Ludzie do chram6w i k6cin niech przyjd6 po pomoc, a bogowie ich ocal6. Ty zaś, zamiast wymachiwać mieczem, kt6rym i tak wroga bić nie zdolujesz, ksi6cia protektora o wojska proś. Wojownik6w mrowie poszł6 za pustyni6 na sukursj6, ci, co zostali, musz6 chram6w bronić.– zakończył, wskazuj6c na obecnego w wergundzkim mundurze magnifera zwierzchnika garnizon6w w fortalicjach Karantani. 6w wydawał si6 lekko nieobecny gdy zwr6ciły si6 na niego oczy zgromadzonych i odpowiedział szybko:

- W fortalicjach lud znajdzie schronienie, jednak rozkazy ksi6cia protektora s6 jasne, w teren si6 nie wypuszczać.

- Na wszystkie czerty Welesa! – zgrzytn6ł Dragan – Idźcież wy wszyscy w ci6żkie cholery! Bogowie was chyba ociemnieniem pokarali!

- Co chcesz czynić, wbrew wiecu iść rozkazom? – zapytał Racigniew, kł6d6c kniaziowi r6k6 na ramieniu – Juź bywali tacy, cała Terala stawała przeciwko nim. Kto ci6 poprze, Karanowice twoi?

- Źebyś wiedział! Poprzem! – hukn6ł chor6żowie rod6w znaku Karany, od knezi6w po kmieci.

- Sam nie b6dzie! – powstała takż6 starsza nitrzańskiego kowenu druid6w, Szabora – Jedna jest, najstarsza i w ten lud wrośni6ta wiara Terali! Ziemia, woda, materia, duch, biada kto pozwoli by zabijano dzieci jego w jego wlasnym domu! Czy bogowie oślepli, czy juź nie chc6 dłużej dawać ochrony ludziom?

- Nie śmieć bogom wygrażać! – przerwał jej gniewnie Racigniew, a za nim stan6ło kilku kapłan6w z kult6w Morta, zwanego tu Welesem, i Widy Matki. Karanowice zareagowali groźnym trzaśnięciem mieczy o kraw6dzie pochew.

- Karana za tob6, kneziu, ale kto przeciw tobie! – krzykn6ł, przebijaj6c si6 przez og6lny harmider Mironieg – Czewoje, Gozdawice, Łada, Doł6ga, Jastrz6bce! Oni wszyscy wierni bogom b6d6!

Chor6żowie rod6w spod wymienianych podnosili si6, nie wszyscy wyraźnie chcieli stawać przeciw Karanowicom. Wahanie widać był6 wśr6d ludzi spod znak6w Nitroki i Bobr6w, dziedzic6w pozostałych prócz Karantanii grod6w.

- Ogońcy z Karan6 p6jd6! – krzykn6to zza plec6w kniazia – My si6 koczownik6w nie boim!

- Tch6rza innym nie zarzucaj! – zawrzasał Ściebor znaku Łada – Bo ci6 tu rychł6 kara za obraz6 spotka!

- Stać! Broni nie wyci6gać!

- Nie b6d6 mi obelg rzucać!

- Kto ludzi swoich bronić nie chce, niech obelg słucha z pokor6!

- Knezie, witezio! – przebił si6 przez krzyki gł6s jednego z kmiecych czelnik6w – Was bogowie sił6 i pot6g6 obdarzyli, jakż6 tak lud wlasny na pastw6 wroga ostawiać, a samemu jak kr6lik si6 w norze chować! Ratujcie dzieci nasze!

- Hańba kto w pole nie wyjdzie!

- Hańba kto bogom uchybi!

Coraz ostrzej wypowiedane słowa i coraz dalej z pochew wyciągane miecze wróżyły rychłe złe zakończenie wiecu. Widząc co się dzieje, nieliczni zaczęli uspokajać sytuację. Szabora i Zdziebąd z kowenu Karantanii przypadli do Dragana, widząc, że on jeden może sytuację uspokoić.

- Rozlew krwi wisi nad nami! – krzyknęła druidka – Nie dopuść!

Stojący obok

Dragan sam jednak zrozumiał sytuację zanim zaszła za daleko.

- Staaać! – wrzasnął potężnym głosem, przebijając się przez wszystkie niesnaski i awantury – Stać! Do czego dążycie, do wojny domowej? Postradaliście zmysły? Miecze schować do jaszczurów! Dość.

- Sam to, synu Niemira, wywołałeś – odparł sędziwy Racigniew

- Nie moją intencją jest by wojnę rodów wywołać, mędrco, lecz by wiec wojewodę wybrał i wojnę koczownikom wydał.

- Wojny nie będzie – odparł żerca stanowczo – Wojewody nie wybierzem. Lud niech się do fortalicji i chramów wycofa.

Dragan zgrzytnął zębami i ze złością trzasnął mieczem w okucie.

- Ludzi wytraciecie... – rzekł, jednak ciszej już, bo proporcja sił zdawała się być jasna. Stał zanim jego własny znak, prócz tego podzielone rody Jastrzębców i Ogońcycy, wszystkie trzy druidzkie koweny. Jednak najważniejsze rody dzierzące grody wschodniej Terali, znaki Nitry i Bobrów, skłaniały się ku kapłanom. Kneź spojrział, jak na ostatnią deskę ratunku, w kierunku kniaziowskiego rodu Konasza z Bobrowiców. Na jego czele stała dzierząc stanicę, dziedziczka rodu, Samboja, córka Wienisławy. Konasze mogli przeważać wśród Bobrowiców, bo możliwy to był ród, szacowny wielce. Żadną tajemnicą nie było, że oboje się do zrękówin szykowali, Dragan dziewosłębny szykował.

Przez chwilę patrzyli na siebie jak ludzie, którzy nie mogą się dosięgnąć z dwóch stron przepaści co ich dzieli. Dragan bezwiednie wyciągnął dłoń, lecz nie otrzymał wzajemności.

- Przeciw bogom nie stanę – szepnęła Samboja – Ani ród mój. Póki ty przeciw nim stajesz, Bobrowice cię nie poprą.

Dragan znieruchomiał jak człowiek z nagła uderzony w głowę. Opuścił ręce. Wokół kniazia, witezie, kapłani, kmiecie zamilkli z nagła, czekając na jego decyzję.

- Przyjmiesz decyzję wiecu, kniaziu Draganie Karanowicu, synu Niemira z rodu Awdan? – Racigniew zadał pytanie tak, by uniemożliwić omińnięcie odpowiedzi i wymusić wyjawienie woli dziedzica grodu Karantanii. Za jego plecami chorążowie jego znaku, a także komesi, palatyni i czelnicy, wyraźnie gotowali się do ewentualnego starcia.

- Wojny domowej nie podejmę – odezwał się cicho Dragan, pochylając głowę – Decyzję wiecu przyjmę.

ROK 885, twierdza Gurdara, Pethaban

- Pomnijcie na bohaterów twierdzy Madal! – zawołał Falimir, wywołując wśród zgromadzonych gromadny okrzyk entuzjazmu – Byłem tam! Wielu z was tam ze mną było! Przeżyliśmy osiemnaście miesięcy oblężenia, wystrzeliliśmy tysiące strzał, zabiliśmy tysiące wrogów, pochowaliśmy setki towarzyszy. Co nas może przerazić? Madal była pierwszym z naszych wspaniałych zwycięstw, dziś, moi bracia, moi dzielni Terale, dziś odbierzemy swoje kolejne wielkie zwycięstwo! Chwała bohaterom Terali!!!

- Chwaaaaa! – odpowiedział zgromadzony tłum. Fala entuzjazmu przez chwilę porwała zmęczone ciała i umysły, uskrzydleni wizją nie tyle zwycięstwa, co rychłego odpoczynku, ruszyli do swoich oddziałów. Łucznicy Falimira, weterani pierwszej sukursji, stanowili trzon zewnętrznej flanki, chroniącej pancernych grafa Ademara i lekkobrojne oddziały najemnicze atakujące mury. Tym razem nie mieli, tak jak pod Madal, całej baterii krasnoludzkich machin oblężniczych. Krasnoludy wycofały się, widząc konsekwencje pierwszej wyprawy dla ich ekonomii. Jedynym pozytywnym, z punktu widzenia siły militarnej drugiej sukursji, był fakt, że ci liczni wojownicy krasnoludscy, odrzuceni przez klany po powrocie z Pethabanu, teraz właśnie zasilali szeregi najemników, w tym fenomenalnej mieszanej wergundzko-teralskiej formacji desantowej Trójramiennych. Był jednak sam Gwiron Carraigh Clogad, krasnolud o wielkiej sławie, prowadzący krasnoludzkich artylerzystów. Był jednym z wielu weteranów, którzy zdobyli sławę na pierwszej wyprawie i stanęli na czele drugiej.

Falimir, zakończywszy przemówienie, zszedł do namiotu dowództwa. Ademar dar Montereigno z nieodłączną fajką w zębach stał już nad prostą makietą twierdzy Gurdara, którą oblegali. Tym razem jego uwagi nie przykuwały mury i bastiony twierdzy, a dwie szerokie przełęcze, prowadzące do doliny, w której rozłożony był obóz oblegających. Tymi dolinami pod Gurdarę zmierzało właśnie wykryte przez zwiad wojsko, idące na odsiecz oblężonej twierdzy. Tym samym oblegający stawali się obleganymi zarazem.

Gwiron, który również właśnie wszedł, rzucił w kąt hełm i zaklął.

- Nie mamy szans zakończyć trebuszy do jutra.

- Więcej czasu nie masz – odmruknął znad makiety Wergund. Na pytające spojrzenie krasnoluda odpowiedział zza pleców grafa Korden dar Halwern, najmłodszy wiekiem spośród magniferów armii wergundzkiej. Mówiono o nim, że szybki awans zawdzięczał swojej kuzynce, która kilka lat temu poślubiła księcia protektora Wergundów. Podobno chęć udowodnienia swoich talentów militarnych była główną przyczyną, dla której dar Halwern dołączył do drugiej sukursji.

- Są już na przełęczy wschodniej – poinformował – Zwiad podał profil ich oddziałów, w znakomitej większości to najemnicy, jakaś zbieranina bez umundurowania, ale ich szlak znaczą palone wioski i mordowani mieszkańcy. Ewidentnie Uzurpatorom potrzebny był terror, jest możliwe, że dużą część tej zbieraniny stanowią przymusowo wcieleni wieśniacy.

Krasnolud uniósł brwi.

- Więc nie jest to doborowy oddział o wielkiej wartości bojowej, prawda?

- Prawda – odezwał się Falimir – problem w tym, że ich zadaniem jest odwrócenie naszej uwagi. Prawdziwy przeciwnik idzie od przełęczy północnej.

- Tak?

- To nowy sort z hodowli, tej ostatniej, która została za masywem Khorhat. Wiedzą, że kiedy Gurdar padnie, dobierzemy się do nich i zrobimy to, co trzy lata temu pod Madal, więc postanowili wyjść nam na przeciw i obronić fortecę.

- Ilu? – lakonicznie zapytał Gwiron.

- Cztery setki.

- Psiakrew.

Na krótką chwilę w namiocie zapadła cisza. Przerwał ją Falimir.

- Odwrócić uwagę... Ile możecie mi dać min zapalnych? – odezwał się do krasnoluda – Wiem, że trebuszety nie naruszają murów, ale nie pozwolą im skupić się na innych odcinkach muru.

- Na godzinę ciągłego ognia – odparł Gwiron precyzyjnie – Jeśli chcesz przykryć ogniem atak na innym odcinku muru, liczą się z tym, że nie zdołamy jednocześnie osłonić obozu przed tym, co schodzi z przełęczy.

- Wiem. Oni będą tu jutro w południe najwcześniej. Do świtu mamy czas, żeby przeprowadzić ostateczny szturm. Chcę uderzyć na mur szyjowy między basztą północną, a stołbem.

- Tu? – Ademar podniósł się znad makiety i pacnął fajką w wystający kształt imitujący wieżę – Ma to teoretycznie szanse.

- Jednocześnie pod osłoną ognia Gwirona pójdzie drugi szturm. Jeden musi się przebić... Zresztą – Teral wymownie wskazał na usytuowany na makiecie czarny punkt, oznaczony czaszką – może to i dobrze, że zmuszą nas do działania. Od dwóch tygodni nie dotarły żadne dostawy, wschodni trakt jest zablokowany. Ludziom wydzielamy po kubku wody dziennie. Wczoraj umarło z odwodnienia blisko stu. Ilu dzisiaj, jeszcze nie wiem, ale raczej nie mniej. Ludzie się zabijają o kroplę wody, mieliśmy takie przypadki. Pragnienie zaburza zmysły. Na dobrą sprawę nie atakując nas wygraliby tę bitwę najdalej w tydzień.

Pozostali pokiwali głowami w niemym potwierdzeniu.

Narada potrwała do zmierzchu. Falimir wyszedł z namiotu, gdy tylko zakończyli uzgadnianie szczegółów. Zamiast jednak ruszyć w miejsce, gdzie za chwilę miał rozdysonować rozkazy swoim dowódcom, zgasił niesioną w ręce pochodnię o piach i skręcił do swojego namiotu. Przed namiotem nie było warty, nie zapalił też lampy.

- Na twoje rozkazy, kneziu – czekający na niego w namiocie oficerowie z głębokim ukłonem zasygnalizowali gotowość do walki. Gdyby było nieco jaśniej, dałyby się rozpoznać uniformy Trójramiennych i Weruwitów, najlepszych oddziałów desantowych drugiej sukursji.

- Słuchać – zaczął kniaź z Nitry – Główne uderzenie idzie w mur, który nazywacie "długim". Wspierające uderzenie pójdzie we wschodni bastion. Obydwa jednak to tylko zasłona dymna. Nie zdobędą murów. Pod osłoną obu szturmów pójdziecie wy. Od północy, od Wielkiej Baszty. Wiem, ona jest nie do zdobycia. Ale nie dla was.

Na chwilę zamilkł, zastanawiając się, czy ci ludzie i krasnoludy potrzebują specjalnych słów otuchy, jak zgromadzeni na placu ochotnicy. Dotarł do wniosku, że nie.

- Wasza misja jest okryta całkowitą tajemnicą. Wśród naszych są szpiegowie i wiem, że już obrońcy już dostali informację, widać, które odcinki szykują się do obrony. To jest wasza szansa. Niewielka. Prawdopodobnie nikt z was nie wróci. Ale podejmiecie tę szansę i zrobicie co trzeba. Gdy dostaniecie się na basztę, zawieszcie na szczycie wielką chorągiew wergundzką i utrzymacie basztę tak długo, aż oddziały szturmowe przebiją się do was. Wtedy przejście do drugiej części misji – łucznik zawiesił głos – W podziemiach Baszty, ale z pewnością także w innych punktach, mieszczą się ich cholerne laboratoria. Nie możemy tym razem dopuścić do błędu z twierdzy Madal, nie możemy pozwolić, żeby uciekli tajnymi korytarzami i uzbroili kolejną fortecę, tworząc kolejne hodowane armie. To jest wasze zadanie. Znaleźć, zabezpieczyć, zanim zwykli wojownicy wprowadzą chaos i zaczną plądrować. Moimirze synu Bolemira, ciebie czynię za to osobiście odpowiedzialnym – wymieniony, który nie miał więcej niż dwadzieścia kilka lat, skłonił się bez słowa. Falimir raz jeszcze przyjrzał się swoim ludziom.

- Za godzinę poprowadzę szturm na długi mur. Wtedy macie być już przy Baszcie.

Oficerowie najemników w milczeniu skłonili się energicznie i wyszli. W ciemności nie widział ich twarzy, ale wydawało mu się, że się uśmiechali.

CZEŚĆ II

ROK 886, Ragoszcz, płn. Wergundia

- Książę Protektorze, o twoją uwagę prosić będzie książę Dragan, syn Niemira, z rodu Awdan znaku Karana – marszałek musiał dopomóc sobie trzymaną w ręku kartką, żeby nie pomylić żadnej z godności gościa. Zgrzyt dyplomatyczny z Protektoratem Terałskim nie był nikomu potrzeby. Olaf Wergundzki skinął głową, potwierdzając chęć przyjęcia gościa i Terał energicznie wkroczył do wielkiej halli granicznego grodu w Ragoszczy, prezentując przed księciem tradycyjny terański ukłon. Forma ta, należąca osobom, do których żywiło się wyjątkowy szacunek, była jednym z najstarszych i najmocniej zakorzenionych zwyczajów terańskich. Składający ukłon zdejmował nakrycie głowy, lub nie mając go, przykładając dłoń do czoła, po czym gnąc się w pasie wykonywał zamaszysty ruch, jakby chciał zamieść czapkę ziemię. Ważnym było, by w ukłonie nie zginać szyi, bo to oznaczało poddaństwo, zaś ukłon oznaczać miał respekt i szacunek, nie podporządkowanie. Olaf po wielu pobytach w kraju grodów zdążył się już tego nauczyć.

- Protektorem naszym, więc obrońcą cię zwiemy, jasnie książę – zaczął Dragan – i po obronę właśnie do ciebie przychodzę.

- Któż ci zagraża, zacny kniaziu? – siedząca obok księcia jego małżonka Ermerngarda, słynęła z wielkiej urody i troski o poddanych, których ogromną miłością się cieszyła. Terański książę skłonił się osobno także i jej.

- Ktokolwiek by mi zagrażał, o własne bezpieczeństwo się troszcząc nie śmiałybym najjaśniejszym czasu zabierać, ani też i pomocy bym nie potrzebował. Prosić przyszedłem dla moich ludzi. Wschodnia Terała drugi rok już cierpi od najazdów samnijskich, a w ostatnich miesiącach także i orkowie z gór schodzić zaczęli i kmieci nękać. Wojownicy w większości poszli na sukursję, nie ma komu bronić siół i kaszteli. Tymenicy zaś wergundzkie, co w fortalicjach rezydują, przyjmują ludność pod ochronę, jednak z rozkazu w pole wychodzić nie chcą.

- A ty byś chciał, kniaziu, by wyszli w pole?

- Protektorem cię zwiemy, panie – powtórzył Terał z naciskiem – By od twych wojsk protekcję otrzymać.

Olaf zmrużył oczy i wstał z rzeźbionego fotela, na którym zasiadał. Stanąwszy twarzą w twarz z młodym kniazem, wydawał się być starszy niż jego pięćdziesiąt osiem lat. Ścisząc głos tak, by słyszał go tylko Terał, powiedział:

- Ilu młodych na sukursję poszło? Nie wiesz? Powiem ci, Draganie, synu Niemira. Pod wodzą Falimira z Terałi wyszło sześciuset łuczników i dwustu piechocińców. Wiem, że to dużo, jednak obaj wiemy, że ma kto wciąż bronić Terałi. Czemu tego nie czyni? Czemu się zdajecie na moje wojsko?

- Skoro wiesz tyle – warknął Dragan – wiesz także, czemu nie mogę w pole wyprowadzić wojów. Wiec...

- Wiec. Wojnę macie w granicach, a wy się na wiece zdajecie.

- Takie jest prawo tych ziem...

- Więc ty prawo ziem szanując, przyszedłeś prosić, byśmy was bronili.

- Za to wam, książę, trybut płacim – powiedział Dragan przez zaciśnięte zęby, patrząc Olafowi prosto w oczy.

- Słuchaj więc, kniaziu – Olaf bynajmniej nie opuścił oczu – Sądysz, że mi sprawy Terali są obce? Że skoro na południe patrzę, to nikt mi nie powie, co się za plecami moimi dzieje? Że nie wiem, jak cię wiec wschodni potraktował? Żeście skłóceni, zwaśnieni jak niemądre dzieci, że wolicie trybut płacić, niżli odpowiedzialność sami za swoją ziemię wziąć? Ale ja za waszą ziemię odpowiadać dłużej nie mogę. Z południa idzie burza i nią się muszę zająć, bo to są sprawy wielkie. Samnijczyków zaś trzymać w ryzach nie jest rzeczą trudną. Ja z was potrzebuję sojusznika, nie dziecko pod opieką! Trybut wasz na budowę fortalicji idzie. Ja ci fortalicje oddam, protektorat w sojusz zamienię, ale armię wycofam.

- Jeśli armię wycofasz, koczownicy ludzi w niewolę powiodą i do twoich granic w końcu dotrą, bo rody się pogodzić nie potrafią...

- Ty je masz pogodzić – tym razem głos Olafa był słyszalny w całej sali – Ty, Draganie, synu Niemira, masz Teralę pod buławę wziąć. Jeśli nie, niewolnikami zostaniecie. Moimi. Teraz zaś ci dam lekcję, byś ją zapamiętał i miał przed oczami, gdy brać będziesz w ryzy swych niemądrych krajanów. Odmów, a armię wycofam natychmiast, ciebie do lochu powiodę i na placu przed twymi mi każę wychłostać. Na kolana.

Terał cofnął się o krok, pobladły na twarzy.

- Nie ważysz się.

- Wiesz, że się ważę. Ja tu jestem panem. Decyduj, niewolnikiem będziesz nadal lub jak wolny człowiek o własnej wolności zdecydujesz. Teraz jesteś niewolnikiem. Na kolana.

Olaf uniósł dłoń, dając znać gwardii, na dźwięk chrzęszczących kolczug Dragan cofnął się jeszcze o krok. Wszyscy skupili uwagę, nie wiedząc do końca co się dzieje.

- Książę teralski – ogłosił powolnymi, wyraźnymi słowami książę protektor – przybył złożyć mi hołd poddańczy, by w ręce moje oddać swoją godność. I to właśnie uczyni.

Gwardziści podeszli bliżej i zatrzymali się za plecami Dragana. Przy drzwiach wojowie z draganowej świty zaniepokojeni, próbowali wejść na salę, powstrzymani przez straż przy drzwiach, nie śmieli jednak głośniejsz protestować, nie wiedząc co się takiego dzieje.

Księżna Hermerngarda z niepokojem przyglądając się całej scenie podeszła do małżonka, lecz powstrzymała ją ruchem ręki.

Książę Dragan, drżąc z wściekłości, z zaciśniętymi pięściami i szczękami po dłuższej powoli wyciągnął miecz. Powstrzymani przez Olafa gwardziści w gotowości podeszli jeszcze bliżej, ale miecz z brzdękiem upadł u stóp księcia protektora. Dragan ciężko opadł na oba kolana, aż jęknęła drewniana podłoga, po czym, jakby miał zemdleć, pochylił się nagle do przodu tak, że czoło położył na własnym mieczu.

Po zgromadzonych rozległ się szmer zdziwienia.

Olaf przyklęknął obok Terała, nachyliwszy się nad nim, szepnął:

- To ostatni hołd, jaki składasz obcemu władcy.

Gdy młody książę chwiejnym krokiem opuścił salę, księżna nachyliła się do męża ze zmarszczonymi z dezaprobatą brwami.

- Po co ci było to upokorzenie? – szepnęła – Wroga sobie zrobiłeś.

- Być może – odparł – Ale jeśli go dobrze oceniłem, gdy ochłonie, zrozumie. Nie ma prócz niego nikogo w całej Terali, kto może ten kraj jednością uczynić. Falimir jest wielkim wojownikiem i dowódcą, ale nie politykiem. Dragan zaś ma ducha i wolę. I mądrość. On jeden może mi z podopiecznych uczynić sojuszników. Bo armię z północy muszę wycofać. Nie mogę ich ochraniać, gdy zaczną się na południowej granicy. Muszę mieć bezpieczne plecy, a Samnijczycy po śmierci Miry stali się nieprzewidywalni.

- Jeśli jednak źle oceniłeś, miałeś sojusznika, zyskałeś śmiertelnego wroga.

- Jeśli źle oceniłem, Terala wkrótce stanie się pustkowiec, dzikim ostępem, gdzie hula zwiery. Bo kamienia na kamieniu koczownicy nie zostawiają. Cóż mi po takim wrogu.

- Obyś miał rację, kochany mój. Obyś – westchnęła księżna, odgarniając znad oczu księcia protektora siwy kosmyk włosów.

ROK 887, Meghalaya, Pethaban

Miasto Meghalaya jest pełne pałaców. Każdy z wielkich magów, zwanych tutaj mahami, posiada własną, reprezentacyjną siedzibę na czas, gdy pełni swoją funkcję, oraz pałac pod miastem, gdzie odpoczywa. Do tego osobne pałace mają zarządcy różnych dziedzin życia miasta, apismami, dostojnik zarządzający zaopatrzeniem miasta w wodę, arjunaswami, pilnujący porządku i czystości w mieście, bhumisati, zwierzchnik nad ogrodami... Nazw urzędów nawet obcy mógł doliczyć się kilkudziesięciu, a miejscowi twierdzili, że jest ich ponad setka. Każdemu urzędowi przypisany był pałac, mniej lub bardziej okazały. Prócz tego wspaniałe i pełne przepychu rezydencje należą do świątłych rodzin, posiadających błogosławieństwo gwiazd, bowiem pochodzi z nich wielu świątłych nauczycieli, uczonych i mahów.

Miasto Meghalaya pierwszy raz zobaczyło przybyszów wiele lat temu, gdy piersi Uzurpatorzy przejęli stare górskie twierdze, umocnili je, a potem zeszli z gór ze swoimi armiami i zażądali hołdu. Świątli uczeni miasta wiedzieli, że złe są wróżby, trajektorie ciał niebieskich będą bowiem zbiegać się w złym kierunku, przynosząc mieszkańcom wspólny zły los aż do momentu, gdy zetkną się one i przetną, a los się odwróci. Dlatego właśnie mieszkańcy i mędrcy uznali, że nie warto podejmować walki z Uzurpatorami, należy cierpliwie znieść swój los czekając na moment, w którym się on odmieni. Nawet kiedy pojawili się wybawcy, kiedy z położonego na południe za łańcuchem górskim Khagarhaweli przychodziły już wieści o zepchnięciu Uzurpatorów w góry, o zdobyciu Khi Madal, o uwolnieniu wiosek i osad, wciąż czekali. Wiedzieli przecież, kiedy ten moment nastąpi. Wiedzieli, że będzie dzisiejszy dzień.

Oddziały zwycięskich zdobywców, którzy pokonali Uzurpatorów, nie prezentowały się szczególnie bogato na ulicach miasta Meghalaya. Obdarci, wycieńczeni, w porzeczonych i poniszczonych kolczugach, stanowiliby raczej obiekt współczucia niż uwielbienia, gdyby nie to, że mieszkańcy od dawna przecież wiedzieli jaka jest prawda i żalosna powierzchowność nie mogła ich zwieść. Zresztą,

pokonanie Uzurpatorów w okręgu Meghalaya stało się faktem, niedowiarkom udowodniło czarno na białym jak sprawy stoją. Wyczerpani wojownicy pod sztandarami z odległych krain prowadzili zakutych w kajdany ich niedawnych ciemżycieli, by po uroczystej defiladzie rzucić ich pod nogi Wielkiemu Mahowi Radży.

Kilka dni później zdobywcy twierdzy Gurdar nie wyglądali już tak żałośnie. Przyjęci pod gościnnym dachem w licznych domach w i pod miastem, zostali opatrzeni, umyjni i nakarmieni, sztandary i mundury wyprane, broń wyczyszczona. W takim stanie dopiero mogli zacząć właściwie podziwiać urodę miasta Meghalaya i jego pałaców.

W jednym z pałaców właśnie, w rozświetlonym lampionami ogrodzie trwało wieczorne przyjęcie. Gospodarze, zamożna i błogosławiona licznym potomstwem rodzina Rayala, otworzyli swoją posiadłość dla wszystkich, którzy chcieli przyjść, by posłuchać i popodziwiać wojowników z zachodu, by dla nich śpiewać, tańczyć i wznosić toasty. Pomiędzy obficie kwitnącymi rododendronami rozłożono stoły z owocami i pieczywem, wielkie puchary słodkich trunków. Krążyli wśród nich Wergundowie, krasnoludy, Terale, podziwiając bogactwo barw, zapachów i smaków tej krainy. W centrum, przy fontannie, na rozłożonych na marmurze poduchach pod baldachimem siedzieli odziani w jedwabie gospodarze, słuchając opowieści, przerywanych toastami i pieśniami.

- Tak więc mówisz, szlachetny panie z Karantani, że by zdobyć twierdzę podzieliliście swoje siły?

- Nie jestem szlachetnym panem – uśmiechnął się Sulibor, kłaniając się kurtuazyjnie – W moim kraju ród mój nie jest kniaziowski, a tylko kmiecy, jak większości z nas.

- Zatem – pani domu nachyliła się lekko, gestykułując zdobną w złote bransolety ręką – napiszemy do waszych mahów, by udzielili tobie i innym bohaterom stanu wyższego, tak być powinno!

- Dzięki ci, piękna pani – Sulibor się uśmiechnął, a jego towarzysze zgodnie wstali i wzniesli głośny toast na cześć gospodyni. Po chwili opowieść popłynęła dalej:

- Podzieliliśmy siły, by odwrócić uwagę obrońców od prawdziwego ataku. Mieliśmy bowiem tylko kilka godzin, gdyby siły Uzurpatorów zastały nas w czasie szturmowania, zostalibyśmy uwięzieni między dwoma wrogimi liniami. Przeto książ Falimir wysłał najlepszych ze swoich ludzi, cichcem, bez hałasu. Wspięliśmy się po murze do bastei i opuściliśmy innym sznury. Zajęliśmy całą basteję wywieszając chorągiew na szczycie, gdy zaś zobaczyli to obrońcy, wpadli w panikę, sądząc, że przerwano gdzieś mury. Dowodził nami Mojmir, największy spośród nas wojownik.

- Chwała, chwała Mojmirowi! – rozległy się okrzyki, jednocześnie kilka osób machnęło ręką w kierunku Mojmira, który zajęty był akurat kurtuazyjną walką z jednym z pethabańskich wojowników. Czekając, nim Mojmir podejdzie, Sulibor kontynuował:

- Rzuciły się na nas wielkie siły, ale basteja miała wąskie jeno blanki, bez trudu obroniliśmy ją, gdy w tym czasie nasi przełamali opór na murach i runęli na obrońców. Gdy zaś kilka godzin później przybyły te posiłki, co miały obłożonych wspomóc, przepuściliśmy ich niezaczepionych do samych murów, potem zaś zrobiliśmy to dokładnie, co chcieli oni nam uczynić, czyli zamknęliśmy między murami a obozem w okrążeniu i wybiliśmy wszystkich.

- Gdzież więc jest ów Falimir, którego mądrości zawdzięczamy wasze zwycięstwo?

- Panie, książ Falimir poległ w trakcie szturmowania.

Pani domu lekko teatralnie zaszlochała, pan domu zaś wznosił kielich, dając sygnał do kolejnego toastu. Ten jednak był w milczeniu.

Mojmir, który podszedł również lekko zdyszany wraz z wojownikiem, z którym się mierzył, zasalutowali bronią gospodarzom i dołączyli do siedzących.

- Nie jest dziwne, że mając tak szczupłe siły, zdobyli Bramę Gór – z ukłonem rzekł ów Pethabańczyk – Wielką siłą dysponują, a ich oręż, rozpędzony, łamie nasze żelazo i przebija zbroje.

- Jednak – odparł uprzejmie Sulibor – szybkości i finezji waszych szermierzy trudno nam dorównać, czego przykładem być może ów młodzieniec, którego imienia nie poznałem...

- Hazim Lal Maharishi – ukłonił się Pethabańczyk, a resztę prezentacji wziął na siebie gospodarz:

- Hazim to jeden z najlepszych naszych wojowników, wybrał drogę ostrza, chociaż rodzina Maharishi od wieków wysłała swoich potomków na nauki do aćarja i wielu jest wśród nich uczonych wielkich, sahdaków i mahów. Jemu jednak drogę wskazały gwiazdy odmienną, przez co szczególnym może być błogosławieństwem obdarzony. Teraz jest przy dworze mahów subedarem, co się tłumaczy na wasz język jak dowódca wielu, kapitan.

- Zbyt mi pochlebiasz, szlachetny – Hazim, by uniknąć zakłopotania, postanowił przerwać ów wywód – Może ktoś jeszcze chciałby oddać cześć bogom w tańcu ostrza? – ukłonił się w formule zapraszającej do kurtuazyjnego pojedynku, jednak widząc wstającego Sulibora roześmiał się – Szlachetny, ciebie widocznie zesłano mi, bym się szkolił w pokorze.

Obecni roześmiali się, wszyscy wiedzieli o co chodzi. Sulibor był leworęczny, regularnie wygrywając dzięki temu wszelkie pojedynki.

- Jesteście bardzo przywiązani do wizji zapisanego w gwiazdach przeznaczenia, prawda? – zagadnął Sulibor Hazima, gdy niespiesznie zmiierzali w kierunku placu walki. Jak większość jego towarzyszy, był ogromnie ciekaw tych ludzi, ich tak bardzo odmiennego, ale niezmiernie barwnego świata.

- To prawda – odpowiedział Pethabańczyk – Każdy z nas, gdy się rodzi, ma zapisany swój los. Życie człowieka odczytać można z tego, jakie jest ułożenie gwiazd w miejscu, gdzie przychodzi na świat, od momentu urodzenia, od przeznaczeń jego rodziców. Mahowie i astrologowie potrafią odczytać ów los i wiedzą, które dziecko jakim aćarja oddać.

- A co jeśli się pomyłają? – dopytywał się Teral – Co, jeśli źle odczytają los i dziecko pójdzie na inną drogę niż powinno?

- To się nie może zdarzyć – uśmiechnął się Hazim – Wszystko, co nas spotyka, jest naszym przeznaczeniem, nawet co nas spotyka omyłkowo...

Nie dokończył zdania, zaintrygowany nagłym hałasem za ich plecami. Odwrócili się zaalarmowani i zobaczyli niecodzienny widok. Przed krzyczącymi w zdenerwowaniu gospodarzami stał człowiek, odziany w kapiący od złota płaszcz, na głowie miał turban wyszywany kryształami. Z jego dłoni jarzyło się pasmo bladobłękitnego światła, które biegło od ręki do skulonej na podłodze istoty. Stwór ów, wyraźnie humanoidalny, posiadał pokaźnych rozmiarów ogon, wyrastający z dołu pokrytych szorstką łuską pleców. Ze skroni sterczały mu szpiczaste narośle, zaś z wykrzywionych złością ust szczyrzyły się szpiczasto kończyste dwa szeregi kłów. Istota owa najwyraźniej trzymana na uwięzi przez godnego gościa, szczyrzyła się i warczała, próbując osiągnąć zdziwionego w najwyższym

stopniu Mojmira, sugestywnie dając do zrozumienia, że jeśli smycz puści, rozszarpie Terala na strzępy.

- Na litość bogów, co to jest? – szepnął Sulibor.

- To aszura – odparł Hazim – Nie ma się czego bać, ten aszura należy do wielkiego maha Tal Gangadhar Dilak, tego oto, którego widzisz. Każdy z mahów ma takich wielu na usługi, całkowicie nad nimi panując. Czasem przebywają one uwięzione w przedmiotach, czasem przebywają w dźńeja, a czasem towarzyszą swym panom fizycznie, jak ten tutaj. To istoty mocy, z których mocy mahowie korzystają by tworzyć. No, ale nie zajmujemy się drobiazgami – uśmiechnął się, bowiem doszli już do placu – raz jeszcze spróbuję mojego przeznaczenia z "człowiekiem na odwrót".

ROK 889, Korathia

Cała wielka sala Koratyńskiej Akademii Handlowej była wypełniona po brzegi. Nieznośny smród uderzał w nozdrza zaraz po przekroczeniu wrót, jedynych, które były otwarte. Pozostałe wrota naczelnym medykiem nakazał zabić deskami, podobnie jak okna, zostawiając tylko kanały wentylacyjne. Przed wrotami stała straż, wyposażona w maski. Sami medycy także pracowali w osłonach na twarze i rękawicach, chroniących dłonie aż po łokcie.

Aine nie lubiła wchodzić do sali, sama siebie karcąc w myślach za ten ludzki odruch, który kazał jej się krzywić na zapach unoszący się nad chorymi. Jednak praca wynagradzała jej ten wysiłek. Noc spędzona na pracy w laboratorium, analizy kolejnych substancji, próby, próby, próby, były mozolną, codzienną, trudną pracą, nad którą zdarzało się jej zasnąć. Ale kiedy gotowy już preparat niosła do sali, gdy podawała go pierwszym chorym, z drżeniem serca oczekując – zadziała czy nie zadziała? – wtedy właśnie pełniła siebie rozumiała, dlaczego wybrała tę profesję. Ona, córka, wnuczka i prawnuczka magów, odrzuciła tradycję, co przy okazji zaowocowało faktem, że rodzina odrzuciła ją, dając powód do szukania szczęścia i spełnienia zawodowego poza murami rodzinnego miasta. Na szczęście były miejsca, które przygarniały takich jak ona, dając im nową ojczyznę. Aine uważała się więc za Styryjkę, choć nie przeszkadzało jej to przyjaźnić się z przedstawicielami wielu nacji, których spotykała na drodze. Nie była magiem, więc wiary w Tavar nikt od niej nie wymagał. Była medykiem. Teraz zaś miała możliwość i okazję pracować z najlepszym medykiem świata, bo za takiego właśnie uważała Witalidesa. Tę opinię utwierdziła dzisiejszego poranka. Wchodzącą do sali powitał okrzyk jednej z pielęgniarek, młodziutkiej dziewczyny z podmiejskich slumsów:

- Pani Aine! Stał się cud! Aine!

Gdy podbiegła do łóżka chorego, już na pierwszy rzut oka dostrzegła, że rozległe czerwone plamy na ciele, które towarzyszyły objawom zarazy, zbladły i częściowo zanikły. Po pierwszych obserwacjach stwierdziła też, że spadła temperatura, a chory oddychał w miarę normalnie, wciąż charcząc nosem, ale ewidentnie zator w drogach oddechowych został odblokowany. Roześmiała się w głos.

- Podałam mu lek przedwczoraj w nocy! – powiedziała, sprawdzając kolejne partie ciała i na kolejnych zyskując potwierdzenie cofania się choroby – To jest niesamowite.

- Ale co podaliście w lekarstwie? Pan Witalides to opracował?

- Tak, on – uśmiechnęła się Aine – Bo widzisz, chodzi o to, że trzeba najpierw uchwycić tę cząsteczkę, która jest niewidzialna, więc jej nie możemy zobaczyć, ale ona jest. Ona powoduje, że

organizm zaczyna wariować, chcąc zabić tę cząsteczkę, sam siebie niszczy. Takich cząsteczek jest wiele, ludzie je przynieśli ze sobą z Pethabanu, na ubraniach, butach, na biżuterii noszonej na ciele. A czasem w samym ciele, nawet o tym nie wiedząc. Wiesz, wciągnęli z oddechem i trzymali to w płucach. Albo z jedzeniem. Ludzie z Pethabanu mają inne organizmy, znają te cząsteczki, wiedzą jak się bronić, a nasze organizmy panikują i szaleją – tłumacząc zafascynowanej sanitariuszce Aine wstrzykiwała choremu kolejną dawkę leku – Więc najpierw musimy ustalić co to jest za cząsteczka. Potem musimy znaleźć dwie rzeczy, taką po pierwsze substancję, od której sama cząsteczka zdechnie w naszym organizmie jak szczur po trutce. Ale po drugie też i drugą substancję, która zatrzyma to, co wyczynia nasze ciało. Te wszystkie plamy, zatory, ropnie, to wszystko szaleństwo trzeba zatrzymać, więc po to dodaje się inny preparat, który uspokaja organizm. I jeszcze inny, który pozwoli się zregenerować. To mu właśnie wstrzykuję, widzisz? Po tym jutro powinien już przytomnie mówić, a oddech winien się unormować.

- Pani Aine – szepnęła sanitariuszka – Pani jest magiczką normalnie!

- Ależ skąd – roześmiała się medyczka – To żadna magia. To tylko alchemia i to, co bogowie stworzyli. Masz, tu jest w skrzynce zapas leku. Rozdziel między wszystkie i wstrzyknąć mi to każdemu choremu jeszcze dziś. A najlepiej natychmiast. Jutro podacie pozostałe preparaty, ale doustnie jeśli się da. A teraz wybac.

Aine wybiegła z sali, zrzucając maskę i rękawice jeszcze w pomieszczeniu kwarantanny, pozwalając sobie na tak pośpieszne umycie rąk, za której każdej z sanitariuszek urwała by głowę. Musiała wiedzieć natychmiast, który z testowanych przez poprzednie noce preparatów dał wyniki. Musiała to wiedzieć natychmiast.

- Witalidesie! – krzyknęła na progu, wpadając jak burza bez pukania do kwatery naczelnego medyka – Witalidesie, są wyniki! Są... – wyhamowała gwałtownie, widząc za biurkiem zamiast Witalidesa, jego zastępcę, magistra medyceusza z Akademii.

- Nie ma go – odparł – Wyjechał.

- Co? Jak to? Gdzie? – zapytała zdezorientowana.

- Dostał list wczoraj w nocy. Wyjechał o świcie. Mówił, że to wezwanie od przyjaciela, z którym na sukursje chodził. Z Terali.

- Kiedy wróci?!

- Spakował wszystko. Nie wróci.

ROK 895, Srebrnohora, wsch. Terala

- Powiadasz więc – Dagobert, żeby zwizualizować sobie przedstawianą mu właśnie skomplikowaną strukturę, musiał pomóc sobie układanymi na ziemi kamykami – że każdy Teral jest czworga imion, tak? – Dagobert był inżynierem wojskowym, minerem i trochę alchemikiem, jego ścisły umysł wymagał rozpracowania na czynniki pierwsze, więc Wergund ilustrował sobie każdy element, kładąc na ziemi kolorowe kamyki – To imię, które mu rodzice nadają, to pierwsze?

- Nie – roześmiał się mały Borzysław – Pierwsze to jest imię dziecięce, co się nadaje, nim się wiek dziecięcy skończy, ono jest nieprawdziwe.

- Nieprawdziwe?

- No! Bo dzieci przed tym wiekiem częstokroć umierają. Przeto żeby demony nie mogły dziecięcia po imieniu wołać i mu uroku rzucać, to imię dziecięce się mu daje, a prawdziwe jest w ukryciu i dziecko go nie zna.

- To Borzysław to dziecięce imię?

- No bez żartów! – oburzył się poważnie mały Teral – Ja mam już dwanaście wiosen! Imię prawdziwe się wyjawia w siódme urodziny, gdy postrzyżyny następują!

- Rzeczywiście, przepraszam! – roześmiał się Dagobert – Dobra, więc imię dziecięce – jeden. Imię prawdziwe to dwa. Imię po ojcu?

- Albo matce, po dziewczynsku. Ja jestem Borzysław, syn Krzemira, a siostra moja to Tomiła, córka Rościslawy.

- Jasne, to logiczne – przyznał Wergund – A można powiedzieć "Borzysław, syn Rościslawy"?

- Można, ale wtedy jeno, kiedy ojciec nieznanym jest, wtedy wiadomo, że taki człek to podrzutek lub bękart. Więc częściej gdy macierz sama wychowuje, to synkowi imię dziadka dodaje, miast ojca.

- Mhm, poważna to sprawa. Dobra, to jak na kogo, jak na waszego kniazia, mówią Dragan Karanowic, to on znaczy syn Karana jest, tak?

- Nieceee! – Borzysław aż zaparował na taką ignorancję – Książ Dragan jest syn Niemira, a Karanowic jest bo znaku Karany!

- Znaku? A ów znak to co? Jak nasz herb, tak?

Młody zastanawiał się przez dłuższą chwilę, po czym rzekł:

- Chyba nie. Albo tak. Bo nie wiem, jak wasze herby się dzielą. Znak to jest to, co na stanicach się nosi. Po waszemu chorągwiach. Ale to nie to samo co ród, bo wiele rodów jeden znak nosi.

- A, kumam, to jak klany krasnoludów?

- Eeee... nie wiem. Chyba. Rody pod znakiem niespokrewnione są w ogóle, chociaż czasem są, ale ten sam znak noszą, więc razem decydują, razem na wojnę stają i w ogóle.

- To znaki kniazie noszą, tak?

- No tak, ale inni też. Książowe znaki są czyste, znaczy, jak je rysować, to nic nie mają dodanego, przykładowo Karana rodu Awdan, tego, co z niego książ Dragan pochodzi, to tak wygląda – tu naskrobał patykiem coś, co z grubsza przypominało obręcz z kwadracikami – Jakby byli kmiecym rodem, to tu by kreska była, a jakby witeziowym, to tutaj kreska, a tu strzała. Karanowice są rodem horodeckim.

- Że jakim...?

- No wiesz, hrad trzymają. Gród po waszemu. Karantanię. Nitę trzymają Nitrawice, Bóbr – Bobrowice. Z Bobrowiców to widywałeś tutaj panią Samboję, ona dziedziczką rodu Konasza jest, przez co jej ziemie pod Draganowe podpadają.

- Znaczący ten jej ród nie jest.... hore..hora...horadecki?

- Nie jest. Hrad Bobrowy dzierży ród Bojczów z Bobrowiców.

- O bogowie – Dagobert roześmiał się szeroko nie bez podziwu dla wiedzy małego rozmówcy – Skąd ty wiesz to wszystko?

- Jak skąd, wszyscy to wiedzą. Tylko obcy nie. Wy obcy, to nie wiecie. Chcesz, to ci wszystkie znaki teralskie wymienię, patrzaj: Karana, Bobry, Sisa, Nitra, Lędziany, Czewoja, Gozdawa, Dołęga, Jastrzębiec, Junosza, Łada, Ogończyk, Przegonia, Szreniawa – wyrecytował chłopczyk na przydechu – W znaku Karany są rody Awdan co jest kniaziowski i horodecki, Birkuty i Kietlicze kniazie, Wojniły i Sulimy witezie, Jury i Sierpice kmiecie. Także samo w innych znakach – jeden ród kniazów horodeckich, po dwa albo trzy kniaziowskie, witeziowe i kmiece.

- No ale jak niby to wypada, że Konasze kniaziowy ród, a posłuszni muszą być Draganowi, co też kniaź, chociaż ci Bobrowice, a on spod Karany? – Dagobertowi spora chwilę zajęło ułożenie prawidłowe tego zdania.

- No jak to, bo Konasze, choć Bobrowice, mają swe ziemie pod panowaniem hradu karantańskiego. Wy to nic nie rozumiecie. Jakby miał draganowy ród Awdanów ziemie swoje, albo choć trochę pola pod panowaniem grodu Bobrów, to by im winien z tego pola posłuszeństwo. Znaczący Bojczom Bobrowicom, co dzierżą gród bobrowy. Rozumiesz?

- Załóżmy. Ale jakże dzierżą gród bobrowy, jak groddzierzcą, znaczący komesem jest tam Gromisław, a w Karantarii przecież Mścidrug Gozdawic.

- No żesz! – mały parsknął ze zniecierpliwieniem – Taż przecież groddzierzców, czeli po waszemu komesów, wiec mianuje! Oni się grodem zajmują, ale posłuszeństwo winni kniazowi. Wiec przecież bez woli kniazia mu nie mianuje groddzierzcy!

- Ale też i kniaź bez woli wiecu sam nie mianuje?

- No nie. Wiesz, wiece różne są, bo jest wielki wiec, co się cała Terala zbiera, wszystkie znaki, rody i wszyscy, co noszą godności mianowane, żercy, co bogów czczą, druidzi, co kowenom przewodzą i wszyscy wszyscy. A mniejszy to wiec wschodni, wtedy trzy wschodnie grody się zbierają. A mniejszy jeszcze to wiec grodowy, co się jeden gród zbiera, a mniejszy to wiec kmieci. I wiece mianują różne godności i sądzą spory i wojnę zarządzają i w ogóle co trzeba zarządzają. I na wiecu też kniazie mianują groddzierzców w hradach, żupanów w osadach rzemieślniczych, za to władcy, znaczący ci co na czele kmiecych rodów stoją, mianują czelników i wójtów w siołach i opolach.

- Co jest sioło, a co opole...?

- Sioło to jak nie więcej jak pięć gospodarstw stoi. A opole, to jak więcej, ale nie ogrodzone. Jak ogrodzone częstokołem, to już grodziszczce. A jak fosą jeszcze, to gród czyli hrad po staremu. No, to mianują jeszcze kniazie swoich palatynów, co jest słowo z Ofiru pochodzi – dumnie oznajmił Borzysław – Palatyn znaczący ten co pałacu strzeże kniaziowego. Tak jak kniaź Dragan witezia Mojmira mianował.

- Mojmira syna Bolemira, bohatera z Pethabanu, wiem – pochwalił się Dagobert, choć na chwilę odzyskują autorytet dorosłego w oczach malca – Mojmir znany jest w Wergundii, od naszego księcia protektora wiele tytułów otrzymał.

- Tu go Żelaznym zwał – mruknął Teral – W stal zakuty chodzi, jak wy, Wergundy, groźny on wojennik i mir ma wielki.

- Wie co dobre – roześmiał się inżynier – On palatynem jest, znaczy, że kniaziowi Draganowi służy, tak?

- Tak, a kniaź mu zamek oddał we władanie. Zamek – Borzysław uprzedził pytanie – zamek to wtedy, jak jeno do obrony służy, a nie do ludzi mieszkania. Jak fortalicje wasze, tylko większejsze i z kamienia. A jak zamek ma wieżę jeno jedną, to się kasztelem zwie i kniaź tam kasztelana mianuje.

- To wiedziałem – odparł Wergund – To chyba dobry kniaź wasz i dobrze się dzieje w Terali, co?

- Dobry kniaź – powiedział mały – Jeno szkoda go, bo ostatni jest z rodu.

- Jak to, młody przecie jeszcze, nie?

- Ano. Ale mu bogowie łaskę potomstwa odebrali. Wiele on niewiast ma przy sobie, ale wszyscy wiedzą, że niezdolen jest żadnej ciężarną uczynić. Dlatego też, miał niegdyś zrękowiny czynić z Samboją Bobrówną, po wiecu jednak śwaćbę cofnęli. Bo też i oni się na tym wiecu wielce poróżnili.

- Takie to dorosłe sprawy znasz? Nie za młody jesteś, by o niewiastach rozmawiać?

- Ja już dwanaście mam wiosen! – zachnął się Borzysław – Sam za młody jesteś!

- Dobrze dobrze – uśmiechnął się Dagobert – Ale prócz tego, że dzieci mieć nie może i małżonki nie ma, to dobry kniaź?

- Dobry kniaź. Ale nie wszystko się dobrze dzieje... Tylko ciiii, bo jak macierz usłyszą, że z obcym o tym mówię, to mi uszu natrą... Bo teraz, jak ludzie chorować zaczęli, to mówią, że to przez to, że kniaź kazał posągi wywracać, żerców z chramów, a kapłanów z kącina wygnąć...

- Ano – potwierdził Dagobert – Przychodzili tu ludzie się skarżyć. Tylko nie wiem, czym się żerca od kapłana różni i co to chram, co kącina, i które z nich jest świątynią...

- Ech... – chłopiec wywrócił oczami – Kącina to miejsce, gdzie wszyscy kapłani mieszkają, ale gdzie ludzie inni nie mają wstępu, bo to ustronne miejsce jest, by ich nikt nie rozpraszał. Dlatego kącina, bo pokątne. Chram zasię to tam, gdzie lud przychodzi słać bogów i ofiary składać, jak ten chram co tu powyżej fortalicji, tam gdzie panią Wedę czczą. I w chramie żercy ofiary składają, bo nie każdy kapłan przecie może ofiary czyli żertwę składać, więc żerca to ten, co żertwę bogom daje, jemu bogowie zsyłają moc i wiedzę, i jasnowiedzenie i inne łaski.

- Czyli u nas jak kapłan po prostu – mruknął Dagobert, po raz kolejny zachwycony wirtuozerstwem, z jakim mieszkańcy Terali potrafili komplikować proste pojęcia – Tak więc kniaź Dragan miłością do kapłanów nie pała, że im kazał się wynosić?

- Nie no, wynosić to nie, jeno nakazał ofiar zaprzestać, zezwoliwszy jedno kowenom druidzkim, by ofiarę składały zgodnie z najstarszą wiarą. Bo tego też pewnie nie wiesz, że bogów my szanujemy, jak i przodkowie nasi, ale nim zaczęliśmy im cześć oddawać, czciliśmy Matkę Ziemię jak druidzi uczą. Wszyscy druidzi na świecie się z Terali wywodzą, a druidzkie czynienie jest mówione w języku prastarym, w którym dziady nasze mówiły.

- A ty znasz ten język?

- Nie znam – zasmucił się Borzysław – Nikt prócz druidów już go nie zna. Pono w tym języku jeno licha leśne mówią, Poświst, Zora i inne bóstwa leśne. Ale kto by tam się odważył do nich na naukę iść...

W zwykły harmider fortalicji nagle wdarł się dźwięk rogu. Dagobert zerwał się, poklepał młodego po ramieniu i uśmiechnął się:

- Jutro mi opowiesz o leśnych lichach, co? Teraz muszę iść, dzięki, witeziu – spróbował błysnąć wiedzą, ale mały na odchodne krzyknął:

- Ja z rodu kmiecego jestem, co ty, nie wiesz?

Idąc na plac Dagobert jeszcze się śmiał, ale poważna mina auxilion nie wróżyła powodu do radości. Ingeboran PiocArk'hant, pełniąca funkcję castora, czyli dowódcy fortalicji, i jednocześnie auxiliona, odpowiednika decuriona dla wergundzkich oddziałów kondotierów, nie była osobą ponurą, ani skłoną do paniki z błahych powodów, więc tym bardziej przejęli się jej słowami.

- Przyszły rozkazy – oznajmiła lakonicznie auxilion – Mamy tydzień na opuszczenie fortalicji i wycofanie się na południe za granicę Terali. Na wschodnią Teralę zostaje nałożona blokada kwarantanny. Panowie oficerowie, za dziesięć minut widzimy się w kantynie. Jesteśmy oddziałem kondotierskim, musimy zdecydować, co robimy.